

1.

Gdy Holston wspinał się ku swojej śmierci, dzieci bawiły się w najlepsze. Słyszał ich piski i wiedział, że tylko szczęśliwe dzieciaki potrafią tak piszczeć. Hałasowały dziko na górze, Holston tymczasem niespiesznie, jakby zastanawiając się nad każdym ociężałym krokiem, pokonywał spiralne schody, uderzając podeszwami starych butów o metalowe stopnie.

Stopnie, podobnie jak buty jego ojca, nosiły ślady wieloletniego użytkowania. Płaty farby dało się zauważyć tylko w rogach i na podstopniach, gdzie nie zagrażały im ludzkie stopy. Odległy ruch wzbijał w powietrze chmury pyłu. Holston czuł wibracje barierki, startej aż do lśniącego metalu. Zawsze go to zadziwiała: jak niszczy się metal, przez stulecia dotykany dłońmi i stopami. Przypuszczał, że dzieje się to cząsteczka po cząsteczce. Pojedyncze życie może zniszczyć tylko pojedynczą warstwę, nawet jeśli silos zniszczy to życie w całości.

Każdy stopień گیاł się od stąpających po nim pokoleń, krawędzie stawały się coraz mocniej zaokrąglone. Na powierzchni nie było już niemal śladów diamencików, dzięki którym stopnie zapewniały niegdyś dobrą przyczepność. O ich obecności można było wnioskować wyłącznie z charakterystycznego wzoru po bokach – niewielkich piramidowych wybrzuszeń, które wznosiły się nieco ponad poziom stali, pokryte cętkami farby o postrzępionych krawędziach.

Holston uniósł leciwy but nad stary stopień i z namaszczeniem postawił nań stopę, a potem zrobił to znowu. Zatracił się w myśli o tym, co niezliczone lata zrobiły z tym miejscem: znikanie cząsteczek i żyć, warstwa po warstwie, aż zostanie proch. I nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że ani te schody, ani niczyje życie nie nadawały się do takiej egzystencji. Ciasne ramy tej niekończącej się spirali schodów, pnącej się w górę silosu jak słomka w butelce, nie zostały zbudowane, by aż tak często z nich korzystać. Zresztą tak jak cały ich cylindryczny dom, zdawały się stworzone dla innych celów, innych – już dawno zapomnianych – funkcji. To, z czego obecnie korzystały tysiące ludzi, idących to w dół, to w górę podczas powtarzanego codziennie cyklu, z punktu widzenia Holstona bardziej nadawało się do użytku jedynie w nagłych wypadkach, ewentualnie częściej, ale dla nie więcej niż kilkudziesięciu osób.

Minął kolejne piętro, na którym znajdowały się sypialnie. Kiedy Holston pokonywał kilka ostatnich kondygnacji, kończąc ostatnią w swoim życiu wspinaczkę, z góry dobiegły go jeszcze głośniejsze dziecięce piski. To był czysty śmiech młodości, radość dusz, które jeszcze nie do końca pojęły, gdzie tak naprawdę żyją, które nie odczuły naporu otaczającej ich ze wszystkich stron ziemi, które nie myślały o tym, że są tutaj pogrzebane, a tylko, że po prostu żyją. Żyły, a ich radosne głosy niosły się echem po klatce schodowej – wesołe trele zupełnie nie pasowały do tego, co właśnie robił Holston, do podjętej przez niego decyzji i determinacji, by wydostać się stąd *na zewnątrz*.

Gdy już docierał na najwyższy poziom, jeden z głosów zabrzmiał wyraźniej niż pozostałe. Holston przypomniał sobie wtedy, jak to było być dzieckiem w silosie – oczami wyobraźni zobaczył szkołę, przypomniał sobie wszystkie zabawy. Wtedy jeszcze ten duszny betonowy cylinder, z tyłoma piętrami mieszkań, warsztatów, oplecionych rurami ogrodów

hydroponicznych i oczyszczalni, zdawał się przepastnym wszechświatem, prawdziwym bezmiarem, którego nikt nie będzie mógł do końca poznać, labiryntem, w którym on i jego przyjaciele będą mogli się zgubić na zawsze.

Ale od tamtych dni minęło już ponad trzydzieści lat. Dzieciństwo Holstona wydawało się tak odległe, jakby dzieliły je od niego dwa bądź nawet trzy życia, i miał wrażenie, jakby przeżył je nie on, a ktoś zupełnie inny. Całe dorosłe życie spędził na byciu szeryfem i to odgradzało go od przeszłości. Niedawno zaś wkroczył w nowy, trzeci etap – wiódł sekretne życie, zawieszane gdzieś pomiędzy byciem dzieckiem a pełnieniem funkcji szeryfa. Wtedy właśnie zaczął stopniowo obracać się w proch – przez te trzy lata spędzone w oczekiwaniu na coś, co nigdy nie nadejdzie, gdy każdy dzień zdawał się dłuższy niż całe miesiące jego poprzedniego, szczęśliwego życia.

Dotarłszy do szczytu spiralnych schodów, Holston oderwał dłoń od poręczy. Zakrzywiona stalowa poręcz urywała się w miejscu, gdzie klatka schodowa przechodziła w najobszerniejsze pomieszczenia całego silosu: stołówkę i przylegający do niej bar. Właśnie teraz znalazł się na kondygnacji, skąd dochodziły radosne dziecięce popiskiwanie. Pomiedzy rozrzuconymi niedbale krzesłami przemykały jasne kształty – dzieci bawiły się w ganianego. Kilkoro dorosłych starało się jakoś okiełznać ten chaos. Holston zauważył Donnę, zbierającą pokruszone kawałki kredy i kredkę świecowych z podłogi. Jej mąż, Clarke, siedział za stołem, na którym stały kubki z sokiem i miski z kruchymi ciasteczkami. Pomachał do Holstona z drugiego końca sali.

Holston nie zamierzał mu odmachiwać – nie miał ani sił, ani ochoty. Oderwał wzrok od dorosłych i bawiących się dzieci i popatrzył na rozmyty widok za ich plecami wyświetlony na ścianie stołówki. To była największa panorama ich niegościnnego świata. Poranna sceneria: blade światło świtu otulało jałowe wzgórza, które od dzieciństwa Holstona właściwie się nie zmieniły. Trwały niewzruszenie, jak zawsze, gdy tymczasem on z pełnego życia chłopca ganiającego pośród stołów przekształcił się w tę pustą skorupę, którą jest teraz. Za majestatycznie pofalowanymi szczytami wzgórz dostrzegał znajomą linię horyzontu, odsłaniającą niemrawe rozbłyski pierwszych promieni słońca. A także starożytne szkło i stal odległych budowli, w których – jak podejrzewano – kiedyś żyli ludzie.

Jedno z dzieci odbiegło od grupy i wpadło na Holstona, uderzając go w kolana. Mężczyzna spuścił wzrok i spróbował pogłaskać dzieciaka – syna Susan – lecz ten znów, niczym kometa, wystrzelił w inną stronę, wracając w końcu na orbitę, gdzie bawili się pozostali.

Nagle Holston przypomniał sobie o loterii, którą on i Allison kiedyś wygrali. To był także rok jej śmierci. Nadal miał „szczęśliwy” los, wszędzie go ze sobą nosił. Jedno z tych maleństw – dziś miałyby być może już jakieś dwa lata i biegało tutaj z pozostałymi – mogło być ich dzieckiem. Jak wszyscy rodzice, on i Allison także marzyli, że trafią im się bliźnięta. Naprawdę się starali, to oczywiste. Kiedy wyjęto jej implant, każdej nocy próbowali zamienić ten los na nagrodę. Pozostali rodzice życzyli im szczęścia, ci zaś, którzy nadal liczyli na własną wygraną, modlili się po cichu, by ten rok minął jak najszybciej.

Wiedząc, że mają niewiele czasu, on i jego żona zaczęły wierzyć zabobonom, szukając wszystkiego, co mogłoby im pomóc. Zawieszanie czosnku nad łóżkiem – podobno poprawiające płodność – wkładanie pod materac dwóch monet, by mieć bliźniaki, różowa wstążka we włosach Allison, niebieska farba pod oczami Holstona – wszystkie te rozpaczliwe próby, komiczne i tragiczne zarazem, sprawiały im nieklamana radość. Większym szaleństwem byłoby chyba tylko nie próbować wszystkiego, nie przetestować każdej z tych durnych opowieści.

Jednak nie było im to pisane. Jeszcze zanim tamten rok dobiegł końca, loteria przeniosła się na inną parę. Nie chodziło o to, że przestali próbować – raczej, że zabrakło im czasu. Bo nagle po prostu stracił swoją żonę.

Holston odwrócił się od bawiących się dzieciaków i od niewyraźnej panoramy świata zewnętrznego, a potem pomaszerował w stronę swojego biura, znajdującego się pomiędzy stołówką a wejściem do śluzy. Idąc w tamtym kierunku, w myślach roztrząsał to wszystko, co kiedyś się tam wydarzyło, wspominał walkę z duchami, którą podczas minionych trzech lat musiał toczyć dosłownie każdego dnia. Wiedział też, że gdyby teraz się odwrócił i spojrzał na wyświetlony na ścianie krajobraz, gdyby zdołał zmrużyć oczy na tyle, by za pośrednictwem brudnych obiektywów kamer przebić się przez wiszącą w powietrzu sadzę i wychwycić odpowiednie miejsce na wzgórzu, a potem podążyć wzrokiem za tą ciemną linią wznoszącą się na sam szczyt, tą zmarszczką, która wiodła przez błotniste wydmy aż do leżącego w oddali miasta, dostrzegłby w końcu słabo widoczną ludzką sylwetkę. Właśnie tam, na tym wzgórzu, znajdowała się obecnie jego żona. Leżała niczym głaz, z rękami pod głową, a toksyczne powietrze i porywiste wiatry stopniowo się w nią wżerały.

Być może.

Trudno to było teraz zauważyć. Ciężko było to dostrzec nawet wtedy, gdy obraz był znacznie bardziej wyraźny. Poza tym niewielu rzeczom widocznym przez brudny obiektyw można było wierzyć. Tak naprawdę istnienie wielu kształtów na wzgórzu należało podać w wątpliwość. Holston wolał się więc nie przyglądać. Minął miejsce, skąd widać było widmową walkę jego żony ze światem, zostawiając za plecami obraz uwieczniający najgorsze z jego wspomnień: efekt jej nagłego szaleństwa, i wszedł do swojego biura.

– Ależ z ciebie ranny ptaszek – rzucił Marnes, uśmiechając się.

Zastępca Holstona zasunął metalową szufladę skrzypiącej niemiłosiernie szafy kartotekowej, podniósł kubek z parującym napojem i dopiero wtedy zauważył ponurą minę przyjaciela.

– Dobrze się czujesz, szefie?

Holston skinął głową. Wskazał pęk kluczy wiszący na haku za biurkiem.

– Cela – powiedział.

Uśmiech zastępcy szeryfa zmienił się w grymas dezorientacji. Odstawił kubek i sięgnął po klucze. Kiedy był odwrócony tyłem, Holston po raz ostatni dotknął chłodnej stali swojej odznaki, a potem położył ją na blacie. Marnes odwrócił się, wyciągając przed siebie klucz. Holston wziął go od niego.

– Chcesz, żebym przyniósł ci mopa? – Marnes wskazał kciukiem stołówkę. Jeśli na posterunku nie siedział ktoś w kajdankach, chodzili do celi tylko po to, by ją sprzątać.

– Nie – odparł Holston. Skinął głową w stronę celi, zachęcając zastępcę, by podążył za nim.

Gdy Marnes wstał, by dołączyć do szefa, jego fotel jęknął głośno, jakby wyrażał ulgę, że wreszcie pozbył się ciężaru. Holston ruszył przed siebie. Klucz gładko wsunął się do zamka. Solidnie skonstruowane i często oliwione tryby wydały z siebie ostry klekot. Rozległ się stłumiony zgrzyt zawiasów. Potem jeszcze kilka pełnych determinacji kroków Holstona, odsunięcie kraty, a na koniec kolejny klekot. I wreszcie jego męka dobiegła końca.

– Szefie?

Holston trzymał klucze pomiędzy kratami. Marnes gapił się na nie zdezorientowany, ale w końcu chwycił klucze w dłoń.

– O co chodzi, szefie?

– Wezwij panią burmistrz – odparł Holston. A potem westchnął ciężko, jakby zrzucił z barków ciężar, który wisiał na nich przez ostatnie trzy lata. – Powiedz jej, że chcę wyjść na zewnątrz.